№ 39.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 30. Września.

DZIENNIK DOMOWY, *poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów* ***4***, *na ćwierć roku talarów* ***2***, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Dwa pogrzeby.

Powieść.

I.

Jadąc od Łowicza, wśród roskosznego angielskiego parku stoi dwór z włoskim dachem, przeglądając się w stawie czystéj, jasnéj jak zwierciadło wody. Z pychą zdaje on się patrzeć na pokrzywione niskie chatki wioski, niby człowiek objedzony ostrzygami i opiły szampańskiém winem na zgłodniałych mimo siebie przechodzących.

We dworze drzwi na oścież pootwierane, służba dworska biega, jeden drugiego potrąca, wszyscy rozkazują, bo każdy chce być czynnym.

A w bawialnym salonie słychać płacz niewieści. W średnich latach kobieta rzucona na sofę szlocha i jęczy. Przy niéj klęcząca młoda dziewczyna całuje ją w ręce i raz poraz wymówi słowo pociechy. »Próżno, próżno mię pocieszasz moja Emilku!« zawołała strapiona, a porwawszy się ze sofy wbiegła do przyległego pokoju, i padła na posadzkę. Bo okropny tam był widok dla jéj serca.

Na rozesłanym kobiercu na łóżku, leżał mężczyzna pięknie wystrojony, jakby miał iść na bal; z bladém i zmęczoném obliczem, jak gdyby spoczywał po trudach zabawy, tylko dłonie miał złożone niby do modlitwy, a między niemi trzymał krucyfiks z bursztynu. I Emilia stanęła w progu jak martwa; znać nie taki ją żal przejął, jak pierwszą, bo tylko zadrzała. Nachyliwszy się do leżącéj na posadzce, zaczęła ją unosić. »Wyjdźmy stąd, ciociu! moja droga ciociu!« rzekła. I pół perswazyą, pół przemocą wyciągnęła panią Łabiszyńską z nieszczęsnego pokoju, gdzie leżały zwłoki męża jéj, przed kilku godzinami zmarłego.

Na dziedzińcu wyglądało, jakby się postać ziemi zmienić miała. Wysélają posłańców konnych i pieszych na wszystkie strony, zaprzągają do bryczek i wozów — wszystko poroztwierane, pełno hałasu i gwaru.

Tylko drzewa parku szeleściły zwykłym szumem, ptaki sadowiły się na noc po swoich krzewach, lilie i tulipany składały listki do snu jak codziennie, słońce biegło z całym majestatem do zachodu, rzucając lekkie promienie jakby łzą zaszłego oka na dobranoc ziemi kochance, a ziemia zasmucona po słońcu oblała się łzami rosy. Cała przyroda zwykłą koleją szła do spoczynku, bo czémże są ludzkie zachody w jéj wiekuistym ogromie!

II.

Przed wschodem słońca, Emilia spiesznie dążyła za bramę dziedzińca z kubkiem napoju w ręku. Biegła aleją niskich z gliny ulepionych chatek, ze szybami pozatykanemi płatami, a do każdéj prowadziła kupa śmieci i błota, jakby godło wewnętrznego bytu. Przechodzący obok Emilii pochwalili Pana Boga, a dzieci się uśmiechały. Ale ona, oddając im tylko uśmiech, niezagadała do żadnego, choć to musiała mieć we zwyczaju, bo dzieci widocznie ją zaczepiały. Ku końcowi wsi weszła do chatki, i choć mierna wzrostem, musiała się jednak w progu uchylić.

Stanęła w izdebce ciemnéj i zakopconéj, spojrzała na łóżko, na niém leżała rozrzucona pstra pościel — a w niéj nikogo. Ozwał się tylko głos niewiasty szyjącéj pilnie i siedzącéj pod oknem na desce o dwu nogach, jedynym sprzęcie do siedzenia:

»To pani niewie, że Marcin o północy umarł? Biedne sieroty!« dodała spojrzawszy na dwoje drobnych dzieci siedzących w kominie — »a ta kruszyna,« wskazawszy na śpiące w kołysce, »wcale ojca niezaznała; Bóg też tylko wie, co je nędzy czeka!« I cicha łza stoczyła się po jéj zmarszczonych licach.

Emilia załamała białe ręce i z wyrazem boleści spoglądała na dzieci; bo słowa staréj: »Bóg też tylko wie, ile je nędzy czeka« jak głos dzwonu grobowego padły na jéj serce, i zarysowały w jéj myśli okropną przyszłość téj rodziny! wszak dotąd pracowało na jéj utrzymanie dwoje, a jednak tyle nędzy!

Po chwili weszła trzecia niewiasta, z wybladłém licem, z oczami od płaczu czerwonemi, dość młoda laty, chociaż zmarszczki, ślady trosków, już ją nacechowały. »Cóż ja poczne, komoszko!« rzekła — »desek we dworze niedostałam, a niemam ani grosza; za cóż mojemu kupię trumnę!?« — I te oczy, z których już tyle łez żalu musiało płynąć, jeszcze się na łzy nędzy zdobyły. »Miła Marcinowa! ja wam dam na trumnę« — ozwała się Emilia. Marcinowa objęła ją za kolana. »Pani tu jesteś! jam już przed żalem nic niewidziała.« — Emilia usuwając ją z lekka nachyliła się, i spostrzegła o dwa kroki przed sobą młodego mężczyznę, siedzącego na słomie przy zmarłym; bo w téj chwili słońce wschodzące wcisnęło tam swoje złote promienie, rozlało światło po izdebce i oświeciło postać młodzieńca. Plecami był o ścianę oparty, nogi na krzyż złożone, ręce splecione na piersiach, głowę dotąd spuszczoną dumnie wzniósł ku górze, śmiałym ale smutnym wzrokiem patrzał na niewiasty. Po ubiorze poznała druciarza. Żal i dobroć, wyryte na jego twarzy, chwilę zatrzymały jéj oczy. Ale słońce, jakby strapione, że tu smutno jak wczoraj — a wczoraj jak przed wiekiem, cofnęło swoje promienie, żeby niezajrzeć jak drugiego rana, i zostawiło za sobą tęsknotę, podobną do uściśnienia przyjaciela przy pożegnaniu. Na wszystkie przedmioty padło znów przyćmione światło; i choć druciarza oczy tkwiły jak dwie strzały w Emilii obliczu, a twarz jego rumieniła się i bladła, pokazywała, że jakieś silne uczucie grało w jego duszy: nikt go musiał niedojrzeć, bo nikt się niezdziwił, niezmieszał — cichość była jak w grobie.

Stara niewiasta zbliżyła się do umarłego, uniosła z niego płachtę, aby mu włożyć duchenkę, uzupełniającą jego śmiertelny ubiór. Leżał na ziemi na słomie w obszernéj koszuli z białego płótna, blady i spokojny, jak gdyby spoczywał po trudach pracy; w ręku na piersiach złożonych trzymał papierowy obrazek świętego, zdarty z nad łóżka. Jedno westchnienie wyrwało się z piersi wszystkich — i znowu cichość. Tylko Emilia szeptała pacierz — westchnęła, i powiedziawszy: »zostańcie z Bogiem!« wyszła z chatki.

Chociaż świeżość rannego powietrza ochłodziła jéj skronie, jednak serce przywalone smutkiem ściešniało oddech w piersiach i pragnęło wylania goryczy. Parę kroków od chatki rosła odwieczna grusza, obrzucona teraz bukietami kwicia, pod nią ona stanęła.

Słońce cotylko odrzuciło swój płaszcz różany, przynosząc dzień miły i jasny. Z uśmiechem wesela powitało ziemię — a ziemia choć okryta łzami brylantowéj rosy, oddała uśmiech młodzieńczy, wiosenny. Skowronek trzepocąc skrzydełkami zawisł między ziemią a niebem, i w śpiewie długim, rzewnym, cieszył się odmłodzonéj ziemi rodzinnéj. Wszystko zdawało się uśmiechać w całéj naturze. Tylko Emilia w żałobnéj sukni, z gładkiemi czarnemi włosami, obsypanemi kwieciem, które wietrzyk jakby umyślnie strącał na jéj czoło, patrzała na to niebo i ziemię, stworzoną dla wszystkich, a łezka po łezce spływała po jéj bladém licu. Ona tam stała, jakby anioł smutku.

A druciarz z pod ściany chatki patrzał za nią. Postąpił naprzód, ale znów się cofnął; — bo może nieśmiał, może też i niechciał tkliwego jéj marzenia przerywać. Po chwili jakieś silne uczucie musiało w nim się odezwać i wstrząsnęło jego postacią, bo druty na nim przewieszone zaszeleściły. Emilia spojrzała na niego — a on wyciągnął ku niéj ramiona. Przestraszona — zniknęła w alei chatek.

III.

Trzeciego dnia po śmierci pana Łabiszyńskiego wszystko było w porządku we dworze. Przed wieczorem zachodziły przed niego kocze i landary, a gospodyni domu w grubéj żałobie w bawialnym salonie przyjmowała gości. Służba w sutych liberyach, z pękiem czarnéj krepy na prawym ręku, roznosiła na srebrnych tacach z kolei: kawę, herbatę, wino i ciasta. Przytomni dzielili się na grupy, i prowadzono rozmowy cichszym głosem niż zwyczajnie, niemniéj jednak żwawe. Byli to sami krewni i przyjaciele nieboszczyka, żałowali go też bardzo, przynajmniéj przy powitaniu powiedział to każdy gospodyni domu.

Słońce pożegnało ziemię: księżyc, który już oddawna czekał na niebie z pół srebrną z pół ciemną twarzą, przyświecał swojém melancholicznem światłem, i gwiazdy biegły na wyścigi w pomoc starszemu braciszkowi.

Ale na dziedzińcu urągali temu miłemu światłu; bo dwunastu ludzi w czarnych płaszczach i wysokich czapkach ze srebrnemi trupiemi głowami, błysnęło dwunastu pochodniami. Jakby złe duchy obtoczyli wóz żałobny, zaprzężony sześciu końmi, okrytemi czarno. Na wozie trumna. Na niéj pozawieszane herby i rozmaite cyfry z cyny; z trupem ustrojonym w drogie szaty i złożonym na atłasach, stała niby majestat tronu na podstawie smutku. Świeciła temi błyskotkami jak odbiciem dawnéj chwały, ale tylko ludziom bez serc, co kupczą szczęściem teraźniejszych i przyszłych pokoleń.

Po chwili rój czarno ubranych osób obtoczył trumnę; każda z nich ze światłem w ręku. A zdala stali mieszkańcy wioski, ciekawie patrząc na tę pogrzebową scenę. Żadnego twarz niepowlokła się smutkiem, oni myśleli, że pod takim przepychem niepodobna, żeby się boleść mieściła, bo oni przyszli spracowani, z nędznych chatek, lichym pokarmem posileni. Księża zaśpiewali psalm żałobny, — znów głębokie milczenie, które dopiero jeden z nich przerwał swą mową. Wyliczył naprzód cały szereg tytułów nieboszczyka, i długi spis cnót jego. Nie wszystkie musiał zmarły wypełniać, bo stojący bliżéj trumny pospuszczali oczy, a na kilku twarzach przemignęło coś nakształt szyderczego uśmiechu.

Księża śpiewy rozpoczęli i orszak pogrzebowy ruszył. Każdéj czarno ubranéj kobiecie podał ramię również ubrany mężczyzna; ci chwilowi rycerze upatrzyli sobie naprzód swoje piękne. Emilii podał rękę wysoki szczupły mężczyzna. W pierwszéj chwili nieprzyszło jéj nawet na myśl spojrzeć na niego. Lecz kiedy przez każdy kamień była raczéj przeniesioną niż przeprowadzoną, spojrzała na swego protektora, ale przy migającém świetle pochodni niemogła dobrze rysów rozpoznać, choć jéj się zdawały niby znajome; dojrzała tylko na wzniosłém czole czarne włosy ułożone à la Jesu.

Orszak pogrzebowy zatrzymał się przed figurą, miejscem w każdéj wsi uświęconém. Tutaj pan raz ostatni zaświecił zbytkiem w obliczu wioski, bo tu był punkt rozdzielenia. Emilia pokłoniła się swemu towarzyszowi, on ją uścisnął za rękę. To uściśnienie musiało być przyjaźni i braterstwa, bo w jéj sercu takie echo znalazło; a wtedy, kiedy przez ciało do duszy zajrzeć niemożem, kiedy słowa nowéj znajomości po odgłosie uczuć jeszcze niezagrały, wtedy dusze wzajemnie często biegną ku sobie, lub się odpychają.

Mieszkańcy wioski odmówiwszy pacierze i przebaczywszy wszystko zmarłemu, spokojnie wracali do domu. Tylko dzieciom w ich główkach ciągle te światła roiły się, choć już oddawna znikły im z oczu, a niektóre mówiły do matek: »Czy w naszéj izbie tak zawsze ciemno będzie? Jak ja urosnę, to też takie świece palić się muszą!« i śniły to w nocy i marzyły to we dnie, bo czegoż dziecinne główki niemarzą.

IV.

Ciągną powozy wszystkiemi drogami, a stroną od Łowicza jedzie koczyk spuszczony, zaprzężony czterema końmi obok siebie w krakowskich chomątach. Konie biegły wiatrem, podrzucając łbami wymijały wszystkie pojazdy; stangret wygięty naprzód miał robotę je powstrzymywać. W koczu siedziało dwóch młodych mężczyzn. Między nimi była jakaś gorąca rozmowa, bo lica blondyna rozpromieniły się od prędkiego biegu krwi, a niebieskie, ruchliwe oczy, ciskały iskry zapalonéj duszy. Słuchał słów obok siebie siedzącego z jakąś uległością, choć hardość na jego gładkiém osiadła czole, pokazywała, że niełatwo cudzéj woli ulegał. Obok niego siedzący o kilka lat zdawał się starszy, bo marszczki obsiadły mu czoło, choć może to były ślady gwałtownych burz życia. Oczy czarne, duże, w których się głęboka myśl zarzyła, utkwił w twarz słuchającego, a wzrok jego panował nad nim, i zaglądał w głębią duszy, jak księżyc na dno jeziora przez jasną jego powierzchnię.

»Tyś jak wulkan Edwardzie! Twoja dusza wre ogniem, wyrzuca płomienie, spali, zniszczy wszystko w koło siebie, a nic niestworzy.«

»Patrzysz na mnie, jak na szaleńca« odrzekł blondyn z przyciskiem. »Prawda, że moje sposoby są szatańskie, ale z nich przyszłość anielska.«

»Z ciebie dobry agronom, róbże więc jak w twojém gospodarstwie. Nim wywrócisz stare, spruchniałe, miéj materyały na nowe, — a kamienie fundamentu przydadzą się zawsze, choć ich w inny sposób użyjesz.«

Edward zamyślił się chwilę. »Ty zawsze masz słuszność, ty mię zawsze zwyciężysz. Ale powiedz mi Janie, skąd ty potrafisz z taką spokojnością mówić o przedmiotach, które całą twoją duszę opanowały? We mnie, to się zaraz krew gotuje.«

»Bom tę myśl tysiąc razy pochwycił, podrobił, każda jéj cząstka zadrgała w mojém sercu, zrosła we mnie; jam jéj apostół, ja ją rozkładam przed drugimi — tyś jéj wyznawca, ty ją wciągasz w siebie. Hałasują ci nowi przybysze, póki niezamieszkają twojéj duszy jak własnego domu.«

»Widzisz mój Janie, jak twoje słowa choć nierodzą, ale budzą myśl we mnie spoczywającą, i na-

dają mi, jakby nowe życie. Zostań jeszcze u mnie! — niemasz się czego obawiać!«

»Jam się odzwyczaił myśleć o bezpieczeństwie, mój Edwardzie, a że obawa jest na świecie, dawnom zapomniał. Dziękuję ci za gościnność, ale zostać dłużéj niemogę — przed odjazdem chciałbym mówić z Emilią — dziwna rzecz, że mię niepoznała. Prawda, że to już dawno, jak my się pożegnali, że burze życia poorały twarz moją, i słońce ją zżółciło, ale te same rysy przecież mi zostały, a ty powiadasz, że moją sylwetkę zawsze nosi. Wczoraj, kiedy ją prowadziłem, nawet na mnie niespojrzała — dotąd wierzyłem w sympatyą, ale teraz już niewierzę.«

»Ty, co masz duszę tak zahartowaną na przeciwności, dziwię się, że to niepoznanie jest ci bolesne.«

»Bo widzę, odrzekł Jan, żem przyszedł między swoich, a oni mię przyjęli jak obcego.«

»Lepiéj, że cię niepoznała; ona niezwyczajna kryć swoich uczuć — w zbytniéj radości łatwoby cię wydała. Ja myślę, że po Marcina pogrzebie zobaczycie się w lesie.«

»Dobrze, ale to widzenie będzie krótkie, bo tego dnia muszę być stąd o mil sześć.«

»I ta chwilka będzie brylantem jéj życia; ona zawsze szczęśliwsza tego dnia, kiedy cię widzi choć we śnie.«

Zamilkli obadwaj. — Jan westchnął i twarz jego ubrała się w smutek, utkwił oczy w wieżę kościoła zdala się ukazującego z takiém zajęciem, jakby ujrzał dawnego przyjaciela. Z Edwarda lic niknął ogień powoli, w niespokojnych oczach osiadała tęsknota, patrzał to w twarz Jana, to przed siebie. Koła warczały, topól po topoli przy drodze zaszumiała i została za pojazdem, kościół rosł coraz większy, słomiane dachy chatek, przeplatane gdzie niegdzie kwitnącą gruszą, zaczęły się niby z ziemi podnosić — i gwar jak odpustowy już ich dolatywał. — Za chwilę mieli stanąć na miejscu.

Edward nagle schwycił rękę Jana, twarz swoją zbliżył do jego, wzrok utopił w oczach, mówiąc: »Tyś pewno odgadł, że Emilią kocham! powiedz jéj — dodał z uniesieniem — że ją kocham jak ludzkość! jak ziemię ojczystą!«

Jan zmierzył go wzrokiem zadziwienia — jednak potém mówił z uśmiechem: »Niebluźń! niebluźń! ona takiéj miłości niepragnie. Jam ją widział w chatce Marcina, widziałem, że jéj serce ukocha tylko takiego, którego dusza wre miłością wszystkich.« Uścisnąwszy dłoń Edwarda, dodał: »Kochajcie się! wszak każda odrobina miłości jest świętą.«

Edwarda twarz całkiém się rozjaśniła, widać, że po téj rozmowie lżéj mu na sercu. Żwawo wyskoczył z kocza, i szedł do kościoła, a Jan za nim. Ale tam nie tak było wesoło i lekko, jak w jego sercu.

Na środku stała trumna na wysokim katafalku, a koło niéj tysiące świec i lamp, poustawianych w stopnie i pozawieszanych w piramidy. Przez okna czarném płótnem pozasłaniane, gwałtem się światło dzienne wdzierało, a za każdém lekkiém uchyleniem zasłony, światło ludzkie bladło przed potęgą bożego. Wszyscy czarno ubrani zasiedli krzesła ustawione za trumną, a lud z wiosek pana Łabiszyńskiego klęczał na posadzce kościoła. Muzyka zabrzmiała na chórze, i księża w żałobnych ornatach rozpoczęli nabożeństwo. Wszystkie usta zdawały się odmawiać pacierze, ale nie wszystkie umiały i śmiały wznieść się ku Bogu.

Przybyli usiedli niedaleko drzwi wchodowych. Każdy, co Edwarda spostrzegł, rzucił mu spojrzenie powitania — ale Jan zwracał ciekawość wszystkich, i ciche zaszumiały na krzesłach słowa: »Kto jest ten, co z Edwardem przybył?« Po chwili przeszumiała odpowiedź: »niewiem.« Te ciekawości spojrzenia dość długo ciężały na Janie, przecież zwróciły się w inną stronę, a twarz jego dziwną grę odbywała.

Spojrzał na klęczących i na młodą niewiastę rzewnie płaczącą, pobladł — a brwi zmarszczone nasunął na oczy. Zwrócił wzrok na świecidła trumny, na tysiące świateł gorejących, a chmury obsiadły jego czoło. Spuścił oczy ku ziemi, ręce złożył na krzyż, i w téj postawie był chwilę; potém spojrzenie pełne ognia wzniósł ku ołtarzowi, i choć ustami nieruszał, twarz jednak zdradzała, że jego dusza wrała gorącą prośbą, — prośbą, któréj skutku był pewien, bo jego czoło wypogadzało się i osiadała duma, jaką gore twarz męczenników, ludzi poświęcenia.

Z tego marzenia wyrwało go lekkie potrącenie Edwarda. Spojrzał przed siebie, a kilka spojrzeń kobiecych na nim zawisło. Ale dla niego jaśniały tylko z pod żałobnego kapelusika czarne oczy, jego spojrzenie padło z czułością na jéj gładkie czoło, i przebiegło ścięgłe lica odbijające białością przy ciemnych włosach. Twarz mu się rozjaśniła, ubrała w radość, a blada twarzyczka, w którą patrzał, odpowiedziała lekkim rumieńcem, i prędko zwróciła oczy na książkę.

(Dokończenie nastąpi.)

Kilka uwag nad szkicem obrazu jednéj kobiety.

(Nadesłano.)

Czytałem w Nrze 13. Dziennika domowego artykuł napisany przez pewną młodą Polkę, pod tytułem: »Obraz jednéj kobiety.« Niejestem literatem z powołania, ale osiadły sobie na wsi, patrzę na stósunki towarzyskie nie przez pryzma łamiące promienie, tylko oczyma, jakiemi mnie Bóg obdarzył; a jeżeli uwielbiam w każdéj rzeczy postęp i nowe widzenie, to przecież niezgadzam się z autorką tego artykułu na wiele rzeczy. Uważam, że jakkolwiek autorka sama jest kobietą, niestawa jednak w obronie płci swojéj jak przynależy, uważa niejako za błąd lub przestępstwo, iż pani starościna, widząc męża niedołęgą, stanęła przy sterze rządu domowego. To jest główna, jak mnie się zdaje, dążność jéj artykułu, jakkolwiek uważam w nim zdanie o podróżach zagranicznych i marnotrawieniu dla tego majątku za uzasadnione.

Nieskusiła mnie, powtarzam, do wystąpienia w szranki literackie ani chęć popisania się z odkryciami nowemi we względzie literackim, ani pognębienia ideów wywołanych przez sz. autorkę, tylko jedynie myśl gorąca wystawienia kobiet w ich prawdziwém świetle, uznania ich poświęceń skromnych a tylolicznych w powołaniu ich domowém, familijném, a nieraz występujących z całém poświęceniem bohatérów, zawstydzających potęgą czynów samych mężczyzn w chwilach zwątpienia i rozpaczy. Uznałem za stósowną do stawienia się w obronie kobiet, płci, przeciwko któréj przez wszystkie czasy powstawano i przed którą zawsze się zniżano, oburzano i głaskano, wyszydzano i chwalono, poniżano i ubóstwiano.

Tę niejednostajność sądu nie zepsuty charakter kobiet wywoływał, lecz pokaleczone rozumy męzkie.

Jak z pisma św. tak z całéj pogańskiéj filozofii, mało co pochlebnego o kobietach wyczytać można: — cała zgoła barbarzyńska starożytność rozbierała anatomicznie (iż tak rzekę) skłonności, błędy, myśli nawet kobiet, a zawsze z ich szkodą. *)

Pismo ś. starego przymierza ledwie nam o kilkunastu wspomina kobietach, których charaktery maluje, a to wtenczas tylko, kiedy miały udział polityczny lub wpływ na mężów znakomitych. Ale dla czegoż pismo ś. pomija tyle milionów matek rodzaju ludzkiego? które tych zawołanych wykarmiły i wypielęgnowały ludzi? Arystokracya płci władała wyłącznie w zakonie Mojżesza i Ezdrasza — kobiety miano za nic, a ich starania, prace i mozoły, mniéj niż za nic — byłto skutek przemocy owych wieków.

Salomon w żalach swoich na kobiety, dowodzi, że go mnogością znudziły. Kto dom swój otworzy rozpuście, kto zbiera kobiety tylko dla roskoszy zmysłowych, niemoże o nich dać dobrego zdania. Salomon osiwiał w rozpuście, jednak jak człowiek mądry, myślał się być obowiązanym naprawić to pismami, co zepsuł przykładem.

Gdyby Książę Rejent, albo Ludwik XV. byli mieli głowę Salomona, byliby zapewne rozpustą znudzeni, takież same zostawili nam przeciwko kobietom jeremiady.

Ale któż splugawił tron Dawida? Salomon. Kto zeszpecił tron Ludwika Św.? Ludwik XV. Któż winniejszy, czy ten co psuje, czy co zepsuciu ulega? Księgi królewskie zarzucają, że córka króla Egiptu zepsuła Salomona — wszakże prawo zabraniało żydom łączyć się z kobietami pogańskiemi, — Salomon był więc winien. Czy Pompadur szukała sposobności poznać się z Ludwikiem? on ją wynalazł i zepsuł. — Heliogabal sprowadzał do swéj rozpusty dziewice święte — czy dziewice te były winnemi? Czy żona Filipa niezepsuła się dopiero na dworze Heroda? Kobiety mają wiele miłości własnéj — mężczyzni lśnią umysły kobiet, sławą, rozumem, lub stopniem: słabszy ulega przemocy, miłość własna łechce, pochlebia, wynosi. — Zawsze źródłem zepsucia są mężczyzni.

Mężczyzni przez despotyzm i arystokracyą płci, tak świat przyzwyczaili do występków, iż się ich wcale niewstydzą. Rozumieją, iż im wszystko wolno. Niewstrzemięźliwość, rozpusta, zabójstwo nawet nieściąga uwagi, każdy zdaje się być bożkiem przemocy, kobieta sama ma być aniołem pokoju? zbiorem doskonałości? Nic wprawdzie przyjemniejszego, jak połączona piękność z pobożnością i niewinnością; ale czemuż my tego po kobietach wymagamy za powinność? Czemuż nieosładzamy im tego rodzaju przemocy przykładem? Czemuż niewynagradzamy im błogą i wzajemną uległością? Czemuż my kobiety możemy psuć (na co nawet świat męzki ma pewne przepisy), a im niewolno przyjąć piekielnego nasienia, które w ich powolném i tkliwém zaszczepiamy sercu? Tém samém okiem, co dziś wyuzdani rozpustnicy, przypatrywali się kobietom starożytni pisarze. Zaostrzyli oni pióra swoje przeciwko płci, którą sami psuli, i któréj niemiał kto bronić.

*) Czytaj księgi Pańskie Eccles. rozdział 7., 19., 25., 26. — Księgi przypowieści rozdz. 2., 5., 7., 11., 14., 19, 21., 27. — Z większém nierównie zadziwieniem czytać trzeba, co poeci, filozofowie i historycy starożytni o kobietach wyrzekli.

Starożytność obok tylu i tak dolegliwych przymówek przeciwko kobietom, zostawiła nam najpiękniejsze ich męstwa i poświęcenia się przykłady.

Makrobiusz tak opisuje męstwo: »męstwo, mówi on — jestto własność serca i duszy, która umysł człowieka nad obawę niebezpieczeństw wynosi, nielęka się tylko podłości i hańby, wszystko z równym znosi umysłem, jak przeciwność tak powodzenie«; w takim samym obrazie wystawiają męstwo Arystoteles, Cycero, Augustyn Ś. i Tomasz z Akwinu. — Zobaczmy, czy wzorów tego męstwa nieznajdziemy w starożytnych kobietach.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Uroczystość w akademii Lozańskiéj
z powodu
wprowadzenia na katedrę literatury łacińskiéj
A. Mickiewicza.

Dziennik Nouvelliste Vaudois, ogłosił następne szczegóły o wprowadzeniu na katedrę literatury łacińskiéj w Lozannie, sławnego poety polskiego Mickiewicza. Stają się one tém bardziéj interesującemi w obecnéj chwili, gdy głos publiczny zdaje się powoływać tego znakomitego człowieka na katedrę literatury sławiańskiéj, świeżo utworzoną w Paryżu.

W przeszły piątek, 26. Czerwca, odbyło się wobec licznie zgromadzonéj publiczności, wprowadzenie na katedrę p. Mickiewicza, professora zwyczajnego literatury łacińskiéj w akademii Lozańskiéj. P. E. de la Harpe, radzca stanu i prezes rady wychowania publicznego, oddając mu dyplom (brevet), winszował młodziezy kantonu Wodejskiego, iż jest szczęśliwa mieć takiego nauczyciela. Okazując potém zbyt materyalną dążność naszego wieku, dowodził, ile jest potrzebna i pożyteczna znajomość dzieł starożytnych, aby uprawę umysłową rozszerzyć, uczucia narodowości ożywić, smak ukształcić: a nikt lepiéj nad sławnego poetę pola tego użyźnić niepotrafi.

Z kolei zabrał głos rektor akademii p. Monnard. W wymownéj pochwale literatury łacińskiéj ujął się on za nią przeciw zarzutom, jakoby była niewolniczém naśladowaniem płodów greckich; uderzające i szczęśliwie dobrane przykłady posłużyły mu do utwierdzenia jéj samoistności. PP. Monnard i de la Harpe starali się widocznie uroczysty obchód przyjęcia nowego professora uczynić pewnym rodzajem rękojmi: iż nadzieje akademii w zachowaniu tego znakomitego męża niezostaną próżne. Z serdecznego uczucia rozlanego w głosie, z natarczywéj troskliwości w słowach mówców, mógł poznać pan Mickiewicz, jak ich kraj wysoce go uwielbia i gorąco pragnie zatrzymać u siebie.

Improwizacya pełna wdzięku i zajmująca jeszcze tém uwieńczoném usiłowaniem, przez jakie nowy nauczyciel zwyciężał ciągle trudności nieojczystego języka, była odpowiedzią p. Mickiewicza. Oświadczył w niéj wdzięczność osobom, co go przyjęły, a mianowicie słuchaczom, których zachęcaniom przypisał swoje powodzenie. Dawało się widzieć z jego mowy, że uczucia i skłonność osobista przywięzują go do kantonu Wodejskiego; ale, jak się sam wyraził, jeśli się zdarza, że los nieprzeparty całe plemiona ludzkie przenosi w dalekie strony od ulubionéj im ziemi, tém bardziéj człowiek pojedyńczy znaleźć się może w wyjątkowém położeniu, które niedozwala mu iść za życzeniem własném. Istotnie, bywa taki zbieg okoliczności, że człowiek nienależy do siebie samego, ale do myśli, którą reprezentuje, któréj jest organem i wyrazem: a bez wątpienia w podobnym przypadku znajduje się teraz pan Mickiewicz.

Sądząc słusznie, iż najlepszy sposób inaugurowania katedry będzie, dać nadzwyczaj zgromadzonym słuchaczom wyobrażenie swojéj metody uczenia, sławny nasz cudzoziemiec, porzucając natychmiast względy osobiste, wszedł na ogólne pole i odbył przepyszną lekcyą literatury łacińskiéj z pierwszych czasów chrześciańskich. Wydobył on tu na jaw kilka skarbów tak długo zarzuconych i ukrytych w dziełach pierwszych poetów chrześcian, którzy na gruzach pogańskiego Rzymu wznieśli tryumf męczenników i napiętnowali swych prześladowców. Kiedy po skreśleniu obrazu męczeństwa sześcioletniego dziecka, które za wiarę rodziców skazane, sama matka podała katowi, niepodobne do opisania współczucie objawiło się między słuchaczami, a mówcą, — a on zatrzymał się i rzekł: »Darujcie mi to wzruszenie, ja byłem świadkiem podobnych rzeczy....«

Erudycyą p. Mickiewicza od erudycyi pospolitéj zawsze prawie suchéj i bez kolorów, odróżnia charakter niezmiernie malowniczy i oryginalny. Za uczonym widać zawsze wielkiego poetę i człowieka myślącego głęboko. Jeszcze raz powtarzamy, że szczęśliwa młodzież, która będzie mogła korzystać z jego nauk, szczęśliwe grono literackie, które w pośród siebie będzie liczyło tego męża. (L'Univers.)

ROZMAITOŚCI.

W roku 1732. wydał król pruski Fryderyk Wilhelm do ministra Steina następujący rozkaz gabinetowy: »Lubo za niewiarą ludzką tak daleko doszło, że upiory i duchy z mody wyszły i więcéj się nieukazują, to przecież z praetorii przekonać się można, że jeszcze niezbywa na rozmaitych duchach i straszydłach, które chowają się po jeziorach, błotach, trzęsawicach, lasach, dołach, jarach, jaskiniach i po świętych drzewach, które jeno szkody i nieszczęścia sprowadzają i dla tego hrabiemu Steinowi nakazuję dołożyć starania, by wszystko to wyniszczył, a gdyby które z tych duchów i straszydeł miało być dostawione żywo lub zabite, będzie mu 6 talarami zapłacone. — Niemniéj z nieustannéj tradycyi wiadomém jest, jako w okolicy Lennie, Willnack i Lebus znaczne są ukryte skarby, które co 10 lat jacyś zakonnicy z Rzymu i podobne inne tałałajstwo odwiedza, przeto wiceprezydent Stein ma nietylko na nich dać baczne oko, by ich pochwycić i osadzić w więzieniu, ale jeszcze wszelkiego dołożyć starunku, czy to za pomocą wieszczbiarskiéj rózgi, czy przez zaklęcia lub inne podobne sposoby, by te ukryte skarby wynalezionemi zostały i tym końcem otrzyma księgi czarodziejskie z naszego tajnego archiwum, wraz z speculo salomonis, a od każdego skarbu wykopanego czwartą część na swoją własność.«

Wielki księgarz londyński Murraj ofiarował poecie Moore 300 tal. za arkusz krytyki życia Hajdena i Mozarta, która miała być umieszczona w Quarterly-Reviev. Moore pisał wówczas artykuły do edynburgskiego przeglądu, współubiegającego się z pierwszym, i odpowiedział: »ofiarowana summa jest znaczna wprawdzie, ale ja mego towaru na nieprzyjacielski okręt nieprzekładam.«

Najstarszy polski żołnierz. Z Warszawy donoszą, że tam najstarszy żołnierz dawnéj armii polskiéj umarł, nazwiskiem Felix Rynkiewicz, miał lat 123.

Chrześcianin za funt tabaki. Berliński »Magazyn literatury zagranicznéj« opisuje jarmark w Ostrownie w Rossyi. Między innemi warto posłuchać, jak tam Tszukczów na chrześcian nawracają. Jako za ordery, tytuły lub pensye się nawracają, tak Tszukczowie dają się chrzcić za funt tabaki, lub za miedziany kociołek. Posłuchajmy: chrzest dla większéj części jest zatrudnieniem handlowém. Dla tego żądają, by ich często chrzcono dla zysku, i bardzo się gniewają, kiedy im tego odmówią. Po przybyciu mojém do Ostrowna, byłem przytomnym podobnéj uroczystości. Z początku stał nowochrzceniec z pewną pobożnością i spokojnie, i pozwalał ze sobą czynić, co tylko duchownemu i chrzestnemu ojcu się podobało; ale kiedy mu nakazano zanurzyć się według zwyczaju kościoła greckiego w wodzie na pół zmarzłéj, natenczas potrząsał głową z pewną godnością, jakoby to mu się niepodobało. Nakoniec skłonił się na ich prośby i jednym skokiem zanurzył w kadzi, napełnionéj wodą zlodowaciałą. Szybciéj jeszcze z niéj wyskoczył, a trzęsąc się od zimna, wołał: tabaki, dajcie tabaki, gdzie moja tabaka? Starano się przekonać go, że ceremoniał chrztu jeszcze się nieukończył, ale on na to jak głuchy, wcale niezważał. Biedak oblatywał około kadzi, trzaskając zębami i wołał: »dosyć, dosyć tego, na więcéj niepozwalam, dajcie tabaki, tabaki!« —

Między wiadomościami z Konstantynopola znajduje się doniesienie o dwóch Europejczykach, którzy Bosfor przepłynęli tam, gdzie jest najszerszy, a czego ani Leander, ani Biron niedokazali.

Cześć, jaką rodzicom w Chinach oddają. Przed kilku laty obił Chińczyk za pomocą żony swą matkę. Rzecz wyszła na jaw i oboje zostali straceni. Matka téj żony została chłostaną, jakkolwiek była niewinną. Dom, w którym to się stało, został zburzony i z ziemią zrównany, a cały powiat jak najuroczyściéj przeklęty. Wszystkich uczniów z tego powiatu zdegradowano, i wszystkich urzędników pozbawiono posad i wypędzono. Taka to kara w Chinach za przekroczenie należnéj czci ku rodzicom.

Chińczyków skępstwo. Mieszkańcy niebieskiego państwa tak są chciwymi, iż ściągają ze siebie swe suknie, kiedy się biją, by ich niepodrzeć. Dziura w ciele, mawiają, prędko się zagoi, ale dziura w sukni nigdy niezarośnie.

Zmiany w majątku. Humboldt opowiada o jednym Francuzie, Józefie Labord, który w roku 1743. bardzo biedny przybył do Mexyku, i nabył wielkiego majątku przez obrobienie jednéj miny. Wybudował kościół w Tasco za pół miliona talarów, ale niedługo potém popadł w ubóstwo, bo kopalnie nic nieprzynosiły, z których dotąd miał rocznie 150,000 funtów srebra. To było powodem, iż przedał złote słońce za 150,000 tal., które ustawił w kościele, — i założył nową kopalnią; ta zaś tak mało przynosiła, iż tylko za pomocą pozostałéj summy pieniędzy nową założywszy kopalnią, tyle był szczęśliwym, iż w krótkim czasie nowy ogromny uzbierał majątek, i przy śmierci pozostawił przeszło milion talarów.

Dowcip majtka. Pewien lekarz, lecząc wszystkich wodami morskiemi, wypadł z okrętu. Majtek o tém uwiadomił kapitana okrętu temi słowy: »Pan doktor wpadł teraz w swoje lekarstwo.«

Podług nauki Kałmuków znajdować się ma w środku ziemi ogromny słup, około którego wszystko się obraca. Dziesięć milionów gwiazd jest uwieszonych u nieba na żelaznych łańcuchach. Słońce składa się z ognia i szkła, księżyc z wody i szkła.

Mody. — Paryż, dnia 23. Września 1840. — O zmianach kroju sukien trudno w téj chwili coś nowego powiedzieć. Czas zbliża się do owego kresu, w którym powietrze znaczny wpływ wywrze i na zmiany ubiorów, a szczególniéj, że tym zmianom nadadzą kierunek Damy, które wówczas ze wsi i z wód do Paryża powrócą.

Jedyną rozmaitość w ubiorach stanowi rodzaj przystrojenia.

Mimo najnowszych wynalazków, zawsze szale kaszemirowe stanowić będą najpiękniejszą ozdobę toalety damskiéj i dla tego ten sam zapas szalów co dawniéj znajduje się po sklepach modnych.

Przy schyłku tego lata nosiły Damy w domu suknie z krótkiemi rękawami, mającemi pod spodem mankietki koronkowe, tulowe w rulki, muślinowe we fałdy lub haftowane, takie jedném słowem, jakie się stósują do canezou, bo canezou muślinowe teraz jest w powszechnéj modzie.

Do tych sukien chętnie używano rękawiczek bez palcy, z białéj jedwabnéj siateczki, z rozmaitym haftem i maleńkim garniturem, odpowiednim mankietkom.

Rękawiczki bez palcy z lilijowego, zielonego, słomistego jedwabiu, dobrze odbijają od białych sukien i przepaski tegoż koloru, co rękawiczki. Fartuszek jedwabny w tym samym kolorze, osadzony koronką paryzką lub piękną fręzlą, dopełnia stroju.

Dodam tu też opis pięknego ubioru dla narzeczonéj: na rano — suknia biała grosdenaplowa, z dwiema falbanami lub raczéj pojedyńczemi ukosami, wyciętemi w zęby. Stanik sznepkowy do połowy piersi gładki, u góry ściągany we fałdy, które z każdéj strony giną pod małém wiązadłem. Strój głowy: barbki z angielskich koronek. — Suknia na wieczór z białéj krepy z trzema falbanami koronkowemi, ujętemi w górę za pomocą trzech bukietów z liściem aksamitném. Na głowie wianek z podobnego kwiecia. Za strój dyamenty.

Dla mężczyzn. Fraki bronzowe lub zielone. Krój, jak dawniéj, kołnierz wązki, wyłogi z przodu aż do trzeciéj dziurki guzika zachodzące. Poły wprost krojone, ku dołowi zaokrąglone. Guziki jedwabne.

Kamizelki z piki kwiecistéj lub z tkaniny wyrobionéj z kozich włosów. Kołnierz szalowy, z przodu bardzo otwarte.

Pantalony buchastsze niż dawniéj, prostopadle spadają na przegubie nogi.

O dobieraniu kolorów w ubiorach.

Znajomość rozmaitych harmonii kolorów w ubiorach, tak jest potrzebną sztuką dla kobiet, jako dla malarzy odcienia i koloryt. Kolory najsprzeczniejsze codzień prawie zespolają, dla tego podamy dziś i następnie pewne prawidła w téj mierze, na które zważać potrzeba.

Patrząc przez czas przydłuższy na przedmiot czerwony, zacznie się w oczach mienić zielono; skoro więc Dama chce kupić tkaninę jedwabną czerwoną, natenczas przegląda kilkanaście sztuk, z tych pięć ostatnich będą się zdawać mniéj czerwonemi, niż pierwsze, jakkolwiek co do koloru i blasku im nieustępują.

Kupiec natenczas powinien zieloną sztukę przedłożyć; skoro się oko w nią wpatrzy, i normalny stan jego się zmieni, natenczas sztuka ta zacznie czerwienieć, skoro następnie sztuka czerwona zostanie przedłożoną, wtenczas czerwieńszą się okaże niż dawniéj. *(Dalszy ciąg o kolorach nastąpi.)*

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz krepowy z słaniającém się piórem. Suknia z poux de soie robotą szmuklerską wystrojona. Stanik półwysoki bertą osadzony. Rękawy obszerne, mankietki koronkowe szerokie.
2. Kapelusz jedwabny, falbaną koronkową i kwieciem zdobny. Suknia z indyjskiéj organtyny, w kształt tuniki, osadzona dębowém liściem, wyrobioném z aksamitu. Rękawy obcisłe. Półkoszulcze fałdziste.
3. Kapelusz jedwabny, ozdobiony czarną koronką i szeroką wstążką aksamitną. Suknia jedwabna, osadzona falbaną w zęby. Stanik szalowy i obszerne rękawy z bufkami u góry.
4. Ranny ubiór męzki w guście greckim.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.

39.